

Eufkrat w pobliżu granicy iracko-syryjskiej jest rzeką dużą i kapryśną. Miejscami prawie stoi w głębokich rozlewiskach, dalej cieknie rozlany szeroko i płytki do kostek, gdzie indziej przewala się z szumem przez zwężone koryta. Jego brzegi też są różne. Lewy jest niski i opada ku wodzie łagodnie jak morska plaża. Jest to szara równina, będąca pozostałością żyznej kiedyś Mezopotamii. Prawy jest wysoki i pustylny. Miejscami pustynia dochodzi tam do samej wody, a miejscami oddzielają ją od rzeki jasne skały dochodzące nawet do kilkunastu metrów wysokości.

Między skałami przycupnęło kilka ludzkich domostw. Zbudowane były z suszonej cegły i miały płaskie dachy, służące za suszarnie, a czasem za sypialnie dla męskich członków rodziny. Z nich też kobiety mogły obserwować świat, nie wychodząc z domu. Każdy dom otaczał mur strzegący dobytku swojego właściciela: osła, kilku kóz lub owiec, paru kur, żony i gromadki dzieci.

Jedno z takich domostw należało do Samira. Od niedawna nosił on dumnie przydomek Abu Ahmed, bo po czterech córkach Allah w końcu obdarzył go synem Ahmedem. Jego pole leżało kilkaset metrów od domu za niewielkim pagórkem nad samą rzeką i podzielone było na małe działki otoczone głębokimi bruzdami. Rosła na nim kapusta, cebula, pomidory i inne warzywa. W bruzdach prawie zawsze stała woda doprowadzana z rzeki rozklekotaną motopompą. Ten system nawadniania trzeba było stale poprawiać i to było zadaniem Samira. Podwinawszy dizdaszę*, z nogami upapranymi do kolan błotem, kopał całymi dniami ciężką motyką rozmokłą glinę, przekładał rury doprowadzające wodę lub naprawiał pompę. Plewienie, sadzenie i zbieranie plonów to były prace dla żony i podrastających córek. Gdy ludzie pracowali, stadko ich kóz pasło się bezpiecznie nad rzeką.

Tak biegły dni i lata, aż któregoś jesiennego dnia z pustyni przyciągnęło stado dziczających, głodnych i owrzodzonych psów. Były to kundły różnych wielkości i kolorów. Zaległy na wzgórkach nad Samirowym polem i stamtąd obserwowały jego obejście, węsząc nieznanym im zapachy. Żona i dzieci bały się wyjść z domu, a kozy musiały pozostać w zamknięciu.

Na drugi dzień Abu Ahmed wziął motykę i ruszył na pagórek, żeby przegonić intruzów. Idąc, krzyczał i rzucał w psy kamieniami. Gdy trafił w któregoś, ten zrywał się, odchodził kilka kroków i stał, patrząc na człowieka. Samir podchodził coraz bliżej, większość psów już wstała, ale stado się nie cofało. Gdy zrobił jeszcze kilka kroków, wtedy kilkadziesiąt pysków z wyszczerzonymi zębami zwróciło się w jego stronę i warknęło głucho. Cofnął się, a kilka psów ruszyło za nim. Włosy stanęły mu dęba. Zamachnął się motyką i psy się zatrzymały. Samir wycofywał się powoli, a psy szły za nim. Odprowadziły go tak kawałek i wróciły do stada. Abu Ahmed szczęśliwie dotarł do domu, ale wiedział już, że sam nie da rady przepędzić tylu psów. Miał jednak nadzieję, że wkrótce same odejdą.

Jakoż następnego dnia faktycznie zniknęły z pagórka. Po porannych modłach Samir wziął narzędzia i poszedł na pole. Gdy wszedł na pagórek, stanął jak wryty. Psy były na jego zagonach. Brodziły w nawadniających bruzdach, leżały w ogórkach i obsikiwały krzaki pomidorów. Pociemniało mu w oczach, usiadł na ziemi i bezradnie patrzył, jak wielotygodniowe wysiłki całej jego rodziny obracały się wniwecz.

Gdy wrócił do domu i opowiedział o tym żonie, ta uderzyła w płacz. Łkając wieszczyła rychłą śmierć głodową całej rodziny i wyrzucała mężowi brak zaradności. Samir nie wiedząc, co odpowiedzieć, zabrał kozy i zniknął z nimi między nadrzecznymi skałami. Do domu wrócił przed wieczorną modlitwą i poszedł spać na dach.

Nazajutrz ubrał czystą dizdaszę i udał się na policję do odległego o kilkanaście kilometrów miasta. Z duszą na ramieniu wszedł na posterunek. Dyżurny policjant, widząc człowieka prostego i ubogiego, przywitał go krótkim: „Czego?” Abu Ahmed opowiedział mu o psach i poprosił o ich przepędzenie. Funkcjonariusz próbował zbyć go byle czym, ale Samir nie dał się. Wzywając Allacha, dopraszał się widzenia z komendantem. W końcu dyżurny ustąpił i kazał mu czekać. Czekał chyba z pół dnia, ale się doczekał. Gruby komendant przyjął go rozparty za urzędowym biurkiem pod portretem Saddama Husajna w mundurze generała policji. Samir jeszcze raz dokładnie przedstawił swoją sprawę i uniżenie poprosił, żeby władza mu pomogła. Władza słuchała w milczeniu. Gdy petent skończył, milczenie trwało nadal, tak jak gdyby władza jeszcze na coś czekała. Nie doczekawszy się niczego więcej, bez słowa wymownym gestem dłoni kazała mu wyjść. Samir wyszedł z gabinetu, ale usiadł w korytarzu i czekał na jakąś odpowiedź. Tak doczekał do zakończenia godzin urzędowania i wtedy został wyrzucony z budynku. Zrezygnowany pojechał do domu.

Władza jednak o nim nie zapomniała i za dwa dni komendant własną osobą w towarzystwie policjanta z kałachem zajechał pod Samirowy dom. Kazał prowadzić się do psów i, wskazując na karabin, powiedział, że dzisiaj sprawa zostanie załatwiona. Gospodarz nie mógł uwierzyć w swoje szczęście i, rozplywając się w podziękowaniach, poprowadził policjantów na pole.

Gdy weszli na pagórek, Samir zaniemówił. Psów nie było.

– Ty chamie! Kpisz sobie ze mnie? Gdzie te psy? No, gdzie? – ryknął komendant i wymierzył mu siarczysty policzek. – Jeszcze się policzymy! – dodał i zawrócił w stronę auta.

Abu Ahmed błagał go, żeby chociaż zszedł na dół i zechciał zobaczyć, w jakim stanie są jego uprawy. Komendant nie zatrzymał się, ale kazał podwładnemu obejrzeć pole. Samir poszedł z policjantem i pokazał mu poniszczone grządki, połamane rośliny i walające się wszędzie psie odchody. Funkcjonariusz był bardziej ludzki i chyba nawet współczuł gospodarzowi. Wypytał, ile było psów, kiedy przyszły, jaką część upraw zniszczyły i zapisał to w notesie. Gdy wrócili do auta, komendant bez słowa kazał ruszać.

Policjanci odjechali w obłokach kurzu, a Samir został na drodze, przeklinając dzień, gdy poszedł na policję. Nie dosyć, że go wtedy poniżono, to jeszcze doprowadził do dzisiejszej obrazy komendanta. Przecież za taką obrazę, a jeszcze w tak niespokojny i wojenny czas, może nawet zostać wysłany na front irański. Co prawda policjant widział jego pole i wszystko spisał. Ale czy to coś da? Może jednak komendant to przeczyta i może się udobrucha? Może sprawa skończy się tylko laniem w miejscowym areszcie? Takie myśli nie odstępowały go przez kolejne dni i z niepokojem czekał swojego losu.

Czas płynął, a po Samira nikt nie przyjeżdżał. Wróciły natomiast psy. Znowu rozpanoszyły się na jego polu, a któreś nocy podeszły nawet pod dom. Przestraszone kozy zaczęły miotać się w zagrodzie, a przebudzone kury gdakały wniebogłosy. Wtedy Abu Ahmed wysłał rodzinę na dach, a sam do świtu pilnował obejścia.

Pracować na polu się nie dało, ale trzeba było paść kozy. Okrężną drogą ganiał codziennie Samir swoje stadko między nadbrzeżne skały i tam nie spuszczał go z oka. Nie upilnował i po kilku dniach psy zagryzły mu jedną kozę.

Wtedy odeszła mu chęć do życia. Co prawda, chodził codziennie za kozami wzdłuż rzeki, ale coraz częściej siadał nad wodą, patrzył w jej nurt i gotów był do niej skoczyć.

Któregoś dnia usłyszał za nadrzecznymi skałami wybuch. Podeszedł ostrożnie i zobaczył dwóch żołnierzy brodzących w wodzie i zbierających do torby ryby. Potem ukryli się za skałami, a jeden z nich wrzucił do rzeki granat. Huknęło i na wodzie pokazało się kilka ogłuszonych ryb, które żołnierze szybko wylapali. Po skończonych połowach usiedli na brzegu, zapalili i zaczęli wkładać buty.

Wtedy Samir wpadł na pomysł, że może taki granat uwolniłby go od psów. Wyszedł zza skał, pozdrowił żołnierzy w imię Allacha i – jak to u Arabów jest przyjęte – zapytał o zdrowie ich i rodzin. Od słowa do słowa nawiązała się rozmowa. Okazało się, że żołnierze są z ochrony leżącej na pustyni kopalni, a na ryby przyjechali, żeby zabić wolny od służby czas i urozmaicić sobie kantynowe jedzenie. Z kolei Samir opowiedział im o dzikich psach i zapytał, czy granatem mógłby je przegonić. Odpowiedzieli, że tak i nawet zgodzili się jeden mu sprzedać, lecz za bardzo wysoką cenę. Samir nie mógł tyle zapłacić, ale nie zrezygnował. Tak długo zaklinał ich na Allacha i targował się, aż dobił targu przy cenie o wiele niższej. Potem żołnierze odwieźli go po dom, zainkasowali należność i dali zielone metalowe jajko.

Zmierzchało już, więc Abu Ahmed postanowił odłożyć zemstę na psach do jutra i – po raz pierwszy – modlił się, żeby w nocy nie odeszły. Nie odeszły i Samir skoro świt wyruszył na swoją wojnę. Nie poszedł na pole przez pagórek, ale wzdłuż rzeki dotarł do miejsca, gdzie stała jego motopompa. Tam dopiero pokazał się psom i śmiało ruszył w ich stronę. One, tak jak kiedyś, zignorowały go. Podeszedł tak blisko, jak się dało i rzucił granat. Huk wybuchu zmieszał się ze skowytami ranionych zwierząt i były to ostatnie dźwięki, jakie zapamiętał z tamtego dnia.

Poranionego odłamkami granatu Samira znalazła po kilku godzinach żona. Długo chorował. W końcu wylizał się z ran, ale już do końca życia utykał na lewą nogę.

Pustynne psy już nigdy nie wróciły.

**dizdasza – tradycyjny, sięgający do ziemi męski strój arabski.*

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Marian, dodano 08.01.2019 10:29

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.